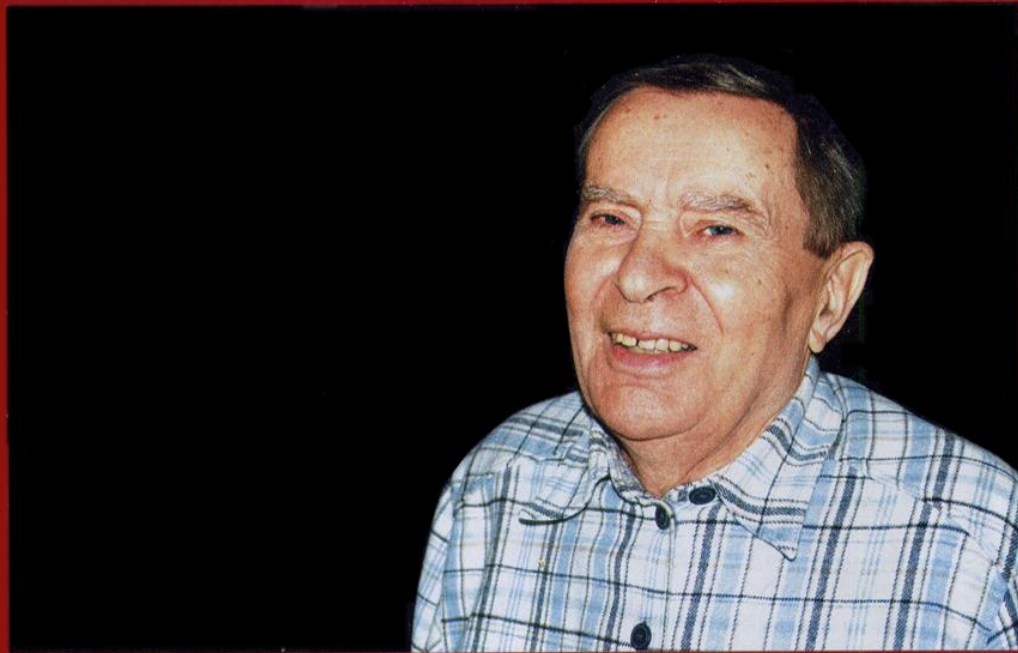


„(...) Nieprawdą jest, że internowanie to coś innego niż zwykłe więzienie. Ciągłe dochodzą do nas informacje o pobiciach w obozach internowanych, np. w Wierzbachach i Włodawie czy w aresztach śledczych. W areszcie śledczym na Mokotowie przebywa skatowany student 4. roku Akademii Teologii Katolickiej - Matejczyk. Choć w czasie przesłuchania został pobity tak, że nastąpiło pęknięcie śledziony, a życiu jego zagraża niebezpieczeństwo, zamiast przenieść go do szpitala, przesłuchuje się i bije nadal. Pamiętajmy o tym, kiedy wmawia się nam, że życie ulega normalizacji, że w imię spokoju i wyższych racji musimy pogodzić się z czasami pogardy. Nie może być normalizacji w kraju, w którym są bici i niewinnie więzieni, w którym podeptane są prawa ludzkie. Zgoda na taką normalizację jest zdradą własnego sumienia, jest zaprzęciem. Musimy walczyć o uwolnienie uwięzionych, o przywrócenie godności ludzkiej. O odrodzenie naszego Związku. Taką walkę podejmuje nasza radiostacja i taką walkę powinien prowadzić, w miarę swoich możliwości, każdy uczciwy Polak”.

Fragment pierwszej audycji, czytany przez Zofię Romaszewską, napisany przez jej męża Zbigniewa



Janusz Klekowski

Mateusz Wyrwich

„Tu Radio Solidarność”

W grudniu 1981 r. stan wojenny zbierał już pierwsze ofiary śmiertelne. Tysiące osób było więzionych w 46 obozach internowania. Kilkaset dalszych - zamkniętych w innych więzieniach za strajki, różnorakie formy protestów przeciwko komunistom. A junta wojskowa, pod wodzą PZPR i Wojciecha Jaruzelskiego, zapowiadała kolejne sukcesy komunizmu. Po chwilowym upadku nadziei, związanej z odzyskiwaniem praw obywatelskich przez Solidarność, już od pierwszych dni stanu wojennego zaczęły powstawać podziemne pisma, m.in. „Tygodnik Wojenny”, „KOS”. Budowano również inne formy samorganizacji związane z funkcjonowaniem podziemia. Jedną z nich, wówczas najbardziej spektakularną, było powstanie i funkcjonowanie Radia Solidarność w Warszawie.

Początki Radia Solidarność

Pomysłodawcą i konstruktorem Radia Solidarność był inżynier elektroniki Roman Kołyszko. Zaproponował on taką formę porozumiewania się zakładom pracy Regionu Solidarności Mazowska już kilka miesięcy przed stanem wojennym - na ewentualność grudniowego strajku generalnego. Do realizacji tego pomysłu jednak nie

doszło. Szansę ponownego wykorzystania nadajnika inżyniera Kołyszki zauważył Zbigniew Romaszewski, wówczas już działacz podziemnej Solidarności. Obu w stanie wojennym skontaktował ze sobą prof. Jan Kielanowski. Wkrótce w sprawę uruchomienia Radia, już w styczniu 1982 z, zaangażowali się nie tylko ukrywający się przed Służbą Bezpieczeństwa Zofia i Zbigniew Romaszewscy, lecz także kilkanaście innych osób, m.in. Janusz Klekowski, muzyk z Teatru Wielkiego w Warszawie. Z Romaszewskimi znalazł się od kilku lat z działalności w Komitecie Obrony Robotników. Podobnie jak oni ukrywał się. To właśnie jemu i swojej żonie, Zofii, Zbigniew Romaszewski zaproponował nagranie, czyli „spikerkę” pierwszej audycji.

„Siekiera, motyka...”

Janusz Klekowski czas współpracy z Radiem Solidarność pamięta bardzo dokładnie i uważa to wydarzenie za jedno ze swych najcenniejszych życiowych doświadczeń. Tak dziś wspomina tamten czas: - Już wdziewaliśmy, co się znajdzie w tej pierwszej audycji. Ale zastanawialiśmy się ze Zbyszkim, co wybrać jako sygnał - sygnaturkę zapowiadającą audycję. Braliśmy pod

uwagę takie patetyczne utwory, jak „Etiuda rewolucyjna” Chopina. Zosia Romaszewska ciągle jednak nas przed tym ostrzegała i przekonywała, że musi to być coś łatwo wpadającego w ucho. Wreszcie powiedziała: Skoro jest wojna, to niech będzie fragment piosenki z okresu okupacji: „Siekiera, motyka...”. A ja, jeszcze przed stanem wojennym, oprócz zajęć w orkiestrze grałem na co dzień na violi da gamba oraz na flecie prostym w zespole muzyki dawnej u znakomitego kompozytora Marcina Szczycińskiego. W mieszkaniu, w którym się ukrywałem, miałem ze sobą mój flet. Więc postanowiłem na nim zagrać... siekiera, motyka... No i okazało się, że nie może być innego sygnału, tylko właśnie taki. Dla mnie ten flet jest historyczny i przechowuję go do dziś. Przyszłość pokazała, że gdybyśmy wybrali na sygnaturkę jakiś patetyczny sygnał, to mogłoby to być śmieszne, bo audycja trwała kilka minut, więc połowę zajmowałby sygnał muzyczny. Zresztą ta melodia bardzo przypadła ludziom do gustu. Słyszałem czasem na mieście, jak sobie gwizdali... siekiera, motyka... Zdarzyła się przy tym piękna i zabawna historia. Kiedy następnego dnia po emisji rozgłośnię zachodnie RWE, BBC, Głos Ameryki nadały audycję Radia „S” z

tym sygnałem, to Marcin Szczyciński biegł podekscytowany po ludziach i mówił żartobliwie: Słuchajcie, mój uczeń grał w BBC na flecie.

- Jest też związana z tą emisją inna, może mniej zabawna historia - opowiada żona Janusza Klekowskiego, Elżbieta. - Janusz ma niewielką wadę wymowy, lecz na tyle charakterystyczną, że ci, którzy go znają, potrafią łatwo rozpoznać jego głos. Następnego dnia po emisji audycji kilkanaście osób w teatrze podchodziło do mnie, klepało po plecach i mówiło: - Gratulacje, Elżuniu. Myślałam, że się zapadnę pod ziemię. Tam wielka konspiracja z tym Radiem, a tu niemal połowa teatru wie, kto macza w tym palce. Od tego czasu zresztą dwóch ubeków siedziało na sali podczas prób, bo Janusz był już poszukiwany listem gończym, i czekał, czy przypadkiem nie przyjdzie do teatru.

Światła mrugające po horyzont :

Nadajnik Kołyszki był prototypem. Kilka tygodni trwały więc próby tech-



Zbigniew i Zofia Romaszewscy

niczne. Pierwszą audycję, rodzaj generalnej próby technicznej, wyemitowano 12 kwietnia 1982 r. - Uważaliśmy, że radio stanie się ważnym elementem w podtrzymywaniu nastroju społecznego. Chodziło nam o to, aby ludzie nie myśleli, że nas, Solidarności, już nie ma - wspomina po latach Zofia Romaszewska. - Wiedzieliśmy, że Służba Bezpieczeństwa będzie nas zagłuszać, a i pewnie po jakimś czasie nas złapią. Że pojdziemy siedzieć i przypuszczaliśmy, że wyrok dostaniemy nie mniejszy niż dwucyfrowy. Ale było warto ryzykować, bo wsparcie ludzi na duchu było dla nas ważniejsze. Nasz kolega Wojtek Kochlewski, zwany Medalikiem, wpadł na pomysł, żeby nadać audycję z wieżowca na Grójeckiej. Miał fantastycznego dozorcę, który dał mu klucze do wejścia na dach. Nagrywaliśmy na Bemowie, w starej willi na ulicy Telewizyjnej.

- Nie przypadkiem wybraliśmy drugi dzień świąt Wielkanocnych. Wiedzieliśmy, że już część funkcjonariuszy będzie zdemobilizowana na przepustki świąteczne. Milicjanci, SB, Rezerwowe Oddziały Milicji Obywatelskiej, ZOMO, wojsko. Trzy dni wcześniej zostało rozrzuconych kilka czy nawet kilkanaście tysięcy ulotek informujących o tym, że w drugi dzień świąt nadawać będzie Radio Solidarność i o której godzinie. Audycja miała charakter ku „pokrępieniu serc”. Było to, można rzec, pierwsze radio „interaktywne” w Polsce. Poprosiliśmy bowiem ludzi o to, by zapalali i gasili światła w zależności od tego, jak będą nas słyszeć. Specjalny „kod” Zosia podała w trakcie audycji. W ten

sposób chcieliśmy się zorientować, jaki jest nasz zasięg.

Pierwszą audycję Radia Solidarność nadawali Janusz Klekowski i Marek Rasiński. W emisję było zaangażowanych kilka rodzin z bloku. Mimo dopiero połowy kwietnia wieczór był bardzo przejrzysty i ciepły. Nadajnik w teczce dyplomacie na dach wniósł Klekowski z Rasińskim, który trzymał również antenę umieszczoną na kilkumetrowej wędze teleskopowej „szczupakówce”.

- Marek Rasiński to wspaniały chłopak, z wielką odwagą i zaangażowaniem w sprawę niepodległości. Nie bał się niczego. Stał z wysoką anteną na dachu niczym poseł wolności, a ja kilka metrów koło niego z odbiornikiem kontrolnym, sprawdzającym słyszalność - wspomina Janusz Klekowski. - Miałem swoje lęki. Zasilanie do naszego sprzętu szło z okna jednego z mieszkań. Miałem wrażenie, że ten czarny kabel, który idzie po ścianie i wychodzi na dach, jest wszędzie widoczny. Na dachu raptem wyobraziłem sobie, że pod blokiem jest zbiegowisko ludzi i wszyscy pokazują sobie palcami nas i ten kabel. To było zupełnie irracjonalne! Na szczęście, obecność Marka wpływała na mnie bardzo uspokajająco. Wreszcie zaczęliśmy nadawać. I w pewnym momencie zobaczyłem światła mrugające po horyzont... Ludzie potwierdzali odbiór i informowali o jego jakości. Popłakałem się. Marek chyba też i w wielkiej euforii wówczas powiedział: - Teraz to już mogą mnie zamknąć. To była wzruszająca dla mnie chwila. Podobnej już nigdy nie przeżyłem. Nadajniki i magnetofon ukryliśmy w bezpiecz-

nym miejscu, gdzieś w tym bloku. U państwa Koralików, zdaje się, bo tam się zameldowaliśmy zaraz po zejściu z dachu. Kiedy weszliśmy, wszyscy nas obcałowali. Wypiliśmy herbatę, jakiś czas posiedzieliśmy i bezpiecznie wyszliśmy na dwór. Po nadaniu audycji miałem świadomość, że Solidarność weszła na wyższy stopień w walce o niepodległość Polski.

- Na mnie największe wrażenie zrobiła opowieść zecera z Domu Słowa Polskiego. Miał nocną zmianę, jak zresztą kilkudziesięciu albo kilkuset innych pracowników drukarni; składali i drukowali gazety na następny dzień - opowiada Zbigniew Romaszewski. - Niemal każdy przyszedł z małym radioodbiornikiem. Zaczęła się praca, rozpoczęli druk i w pewnym momencie, gdy zbliżyła się godz. 21, wyłączyli maszyny i zaległa kompletna cisza. Nagle te wszystkie odbiorniki odezwały się sygnaturką i radiem. I w tym momencie wrzask na sali był taki, że aż się ściany trzęsły.

Ludzie wylegli na balkony

Po tej pierwszej, próbnej audycji następna została nadana dwa tygodnie później, na dzień przed 1 maja. Działała już wtedy, powołana przez SB, specjalna grupa dochodzeniowa „Audycja”, wspierana przez Stasi, służby specjalne NRD. Jednak mimo namierzenia przez pelengatory miejsca nadawania audycji, nie udało się wykryć ani nadajnika, ani magnetofonu. Choć w pobliżu miejsca emisji SB i milicja zamknęły kwartał kilkudziesięciu ulic i zgromadziły blisko tysiąc tajniaków i umundurowanych. Również samochody transportowe

i opancerzone. Nad budynkiem, z którego nadawano audycję, krążył helikopter. - Nawet gdyby urządzenie zostało wykryte, nie stanowiło to już zagrożenia dla kogokolwiek. Magnetofon bowiem i nadajnik tym razem były wyłączane przez automat - wyjaśnia Janusz Klekowski. - Jak mi opowiadano, SB bardzo dokładnie obstawiła osiedle „Za Żelazną Bramą”, skąd rzeczywiście była emisja. Ludzie zorientowali się, z tej manifestacyjnej wręcz obecności milicji, że z ich osiedla nadawana jest audycja. Wpadli w taką euforię, że już nie hamowali się. Wylegli na balkony i śpiewali hymn.

Dwa miesiące później, w lipcu 1982 r., zupełnie przypadkowo została aresztowana Zofia Romaszewska. W następnym miesiącu, w wyniku denuncjacji, został aresztowany jej mąż oraz siedmiu współpracowników Radia. W procesie, który odbył się w styczniu 1983 r., zapadły wyroki od 7 miesięcy do 4,5 roku więzienia - dla Zbigniewa Romaszewskiego. Jego żona dostała o półtora roku mniej.

W tym czasie w całym już kraju powstawały audycje współpracujące z warszawskim Radiem Solidarność bądź nadające zupełnie niezależnie. Do końca 1989 r. „radia Solidarność” wyemitowały kilkaset audycji. Nadawano m.in.: w Gdańsku, Gorzowie, Krakowie, Lublinie, Puławach, Szczecinie, Świdniku, Toruniu, Wrocławiu. Wiele z nich na szerokościach TVP zakłócając w ten sposób program telewizyjny.